NOWINY TYGODNIA

SOBOTA 28. VII. 1956 r. Nr 27 (323)

DODATEK SPOŁECZNO - KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH"

W numerze:

JAN PAWEŁ GAWLIK — W kręgu odwróconego schematu (recenzja z „Ostrego dyżuru" — Lutowskiego) • JERZY LIS — Jan Kasprowicz (wspomnienie o poecie i jego dziełach) • JULIA HARTWIG — Trochę o malarstwie w Paryżu ADRIAN CZERMIŃSKI — Rękopis Kopernika i jego dzieje • KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA — Pretensje o brak rybiego ogona (recenzja z filmu „Warszawska Syrena") KAROL DUSZA — Fraszki • KRONIKA KULTURALNA • ROZRYWKI UMYSŁOWE

BOY czyli pochwała zdrowego rozsądku

CZAS JEST najlepszym sprawdzianem trwałości dzieła literackiego. Niejedna uznana wielkość (Przybyszewski) już za życia stała się szacownym zabytkiem, zastygła w hieratycznej pozie. Ostrożnie z takim pomnikiem. A nuż, w razie uszkodzenia brązu lub marmuru, posypią się z wnętrza trociny?

A jak się przedstawia sprawa z autorem za życia wielbionym i nienawidzonym, wynoszonym pod niebiosy i (dosłownie — jako antychrysi) strącanym do piekieł, z autorem, którego każda książka była skandalem? Może po pięt nastu latach od chwili śmierci Boya, to, co wówczas było wulkanem, wyda się letnią wodą? A no, spróbujmy wetknąć palec.

Wybieram na oślep tomik Boya i, na chybił trafił, wsadzam palec: „Poczciwość intencji, obywatelską myśl, dostojeństwo tematu, praca — to były miary służące dla oceny obrazu... Zanieczyszczanie pojęć sztuki najciaśniej stosowanymi kategoriami pożytku społecznego...". Czy to o krakowskich epigonach Matejki, czy o współczesnej „krajewszczyźnie"? Czy przedmiotem krytyki jest pseudopatriotyczne malarstwo epoki stańczykowskiej, czy fałszywie pojęty socrealizm?

Próbuję dalej: „Trzeba opukać fetysza inteligencji... Podnoszenie godności człowieka, godności wszelkiej pracy, a nie poniżanie jej sztucznymi różnicami. Trochę bezkrwawej bolszewizacji. Jeden będzie specem od bakteriologii, drugi od malarstwa pokojowego". Mogłaby to dziś z pożytkiem przeczytać niejedna panienka, której wołem nie odciągniesz od okienka. Bo uważa się, jako „umysłowa", za coś wyższego od „fizycznych" i woli za marną pensję wypełniać blankiety niż wykonywać pracę produkcyjną, pożyteczniejszą i lepiej płatną.

Do trzech razy sztuka. Tym razem trafiam na artykuł o ks. Pirożyńskim, tak wyczulonym na wszelkie sprawy płci w literaturze. Może to się dziś zdezaktualizowało? W tej chwili przypomina mi się Putrament stwierdzający, że dziś ks. Pirożyński byłby z nas zadowolony...

Nie, nie dobierałem cytat. To naprawdę diabelnie aktualny pisarz. I można się tylko dziwić, czemu w ciągu dziesięciolecia wydawany był tak skąpo. Czyżby z powodu zbyt niskiej rangi literackiej?

Tego nie odważyli się twierdzić najzaciętsi wrogowie polityczni autora „Słówek" — najpoczytniejszej książki w naszej literaturze, arcydzieła poezji satyrycznej, której puenty stały się w Polsce przysłowiami. Jego wspomnienia o krakowskiej cyganerii — „Znasz li ten kraj" — tak świetnie oddają rysy epoki, że stanowić mogą źródłowy tekst historyczno - obyczajowy. Jego prace literaturoznawcze dokonały przełomu w oglądach. Jako krytyk teatralny, mimo że podkreślał swą „niefachowość", pozostaje niedoścignionym wzorem.

A przykłady? Nie ma precedensu fakt, żeby jeden człowiek przyswoił innemu narodowi trzon całej francuskiej klasyki od Villona do Prousta. Pragnął wystawić pomnik literaturze francuskiej, a wystawił jednocześnie pomnik polskiej kulturze. Wspaniały transformista stylistyczny tłumaczył kongenialnie, językiem Reja i Kochanowskiego, językiem Oświecenia, językiem współczesnym — zawsze jędrnym i soczystym, jasnym i klarownym, giętkim i precyzyjnym. Kiedyś wyraził skromną nadzieję, że mowie polskiej „choć jeden przysporzył klawisz". Nie jeden, lecz pięknie zestrojoną orkiestrę symfoniczną.

Po tym nieco przydługim wyliczeniu można ponownie zapytać o przyczynę długotrwałej powściągliwości naszych instytucji wydawniczych. Czyżby zaważył tu wzgląd na wspomnianego ks. Pirożyńskiego? Istotnie, Boy — to nie jest odpowiednia lektura dla dziewic (zwłaszcza konstystorskich). Zbyt wiele tam frywolności, flirtów (z Melpomeną!), wszelkich romansów. A najzdrożniejszy — romans z Francją.

TADEUSZ ŻELEŃSKI — BOY

To była miłość od pierwszego wejrzenia. Nawiedziła ona młodego krakowskiego lekarza w czasie pierwszej włóczęgi po ulicach paryskich, zaludnionych cieniami balzakowskich bohaterów. „Ten etap romansu — pisze Boy — skończył się, jak większość romansów, w łóżku".

Nie gorszmy się. Po prostu, leżąc przez kilka tygodni w łóżku paryskiego pokoiku, Boy chłonął literaturę francuską, jej humanistyczny uśmiech i pogodę, mądry optymizm, trzeźwość rozumowania, jasność myśli, zdrowy rozsądek. Od Woltera i Diderota przejął rewolucyjny racjonalizm, racjonalizm walczący francuskiej burżuazji z bohaterskiego okresu jej dziejów.

Przeszczepienie tego racjonalizmu na grunt polski, zachwaszczony przeżytkami feudalizmu, oznaczało walkę przeciw przejętym przez mieszczaństwo tradycjom szlacheczczyzny, przeciw temu, co Słowacki określił jako „gust do wrzasku", „zwyczaj przemawiać in verba magistri" to znaczy przeciwko frazesom i kultowi autorytetów. Boy godzi w smutną tradycję Polski — „pawia i papugi narodów".

Ta walka przewija się poprzez całą twórczość Boya. Obiektem jego krytyki jest młodopolski neoromantyzm z jego pogardą dla rozumu, z kultem „intuicji" oraz koturnowego gestu. I egoizm warstw pasożytniczych maskowany bogoojczyźnianą tromtadracją. I dulszczyzna, i panosząca się klerykalna obłuda. I nacjonalistyczny frazes tłumaczący grabieżczą wyprawę Piłsudskiego „misją historyczną", i irracjonalny bełkot polskich prefaszystów.

Wśród histerycznych wrzasków kołtunerii o „szarganiu świętości", wśród krucjat dewotek i wyklinań z ambony rozprasza Boy trujące mity i urojenia, tępi fałszerstwa różnych „polonistów od pana Zagłoby", ostrym piórem przekłuwa wydmuchane autorytety. Jako higienista myśli stawia sobie za zadanie „wpuścić powietrze, ośmielać do myślenia, iżby pośród nadętych bałwanów zostało to, co naprawdę szanowne"

To prawda, że nie był pisarzem rewolucyjnym, ale jego twórczość działała rewolucjonizująco przez to, że pobudzała do myślenia. A myślenie jest wiecznym rewolucjonistą.

Jako krytykowi literackiemu zarzuca mu się również jednostronność, empiryzm, brak metody. I to prawda. Boy - krytyk posługiwał się wyłącznie jedną metodą: konfrontował literaturę z życiem. Każde zjawisko, każdą tezę, każdą myśl zestawiał z doświadczeniem praktycznym, ze zdrowym rozsądkiem. To mało — i to dużo. Warto pamiętać, że taka ciągła konfrontacja jest częścią składową metody marksistowskiej. Bolesne doświadczenia nauczyły nas, że zaniedbując tę konfrontację, lekceważąc zdrowy rozsądek, rzekomy marksista może popełniać głupstwa nie do wiary. A Boyowi stosowanie tej jednostronnej metody pozwoliło sformułować mnóstwo słusznych i cennych wniosków natury społecznej. Prowokowało do przemyśleń, w wyniku których po wrześniu pisarz nie pojechał do Francji, lecz objął katedrę uniwersytecką w radzieckim Lwowie.

Najcięższym zarzutem, jakim obarczano Boya, była propaganda świadomego macierzyństwa. Nie chodzi o dowód, że Boy miał rację, dowód ułatwiony obecnie na skutek ukazania się nowych ustaw. Chodzi o to, że Boy nigdy nie twierdził, jakoby regulacja urodzeń miała stanowić lekarstwo przeciw niesprawiedliwemu ustrojowi społecznemu. Bronił tylko godności kobiety, jej prawa do decyzji o macierzyństwie. Rozumiał, że bezwzględny zakaz przerywania ciąży godzi jedynie w najuboższe warstwy. Rozumiał, że w warunkach nędzy wielka ilość dzieci obniża zdrowotność ludności, powoduje wzrost przestępczości i prostytucji. Propagował więc „życie ułatwione", hasło, które w naszym obozie nie powinno budzić zastrzeżeń: socjalizm zmierza właśnie do tego, żeby ludziom żyło się łatwiej. Pamiętamy jednocześnie, że na pytanie Emila Ludwiga, jak można najkrócej sformułować ideologię faszyzmu, Mussolini odpowiedział: „Nienawidzę łatwego życia".

Boya nienawidzili faszyści. Endek Nowaczyński ukuł denuncjatorski termin „boyszewizm". Endekoidzi wynaleźli inny epitet „żydo-komuna", zaliczając do niej Boya i całą postępową inteligencję polską. Hitlerowcy w tym samym sensie zwalczali „Kulturbolschewismus". Piętnaście lat temu zamordowali oni myśliciela, który wierzył w zwycięstwo rozumu, głosił jego chwałę. Strzelając w starego człowieka, mierzyli w racjonalistyczną myśl, humanizm i kulturę, w ludzkie dążenie do prawdy, do szczęścia i do piękna. To jest w wartości, którym pomnik wystawiła twórczość Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

• • •

SKORO już mowa o pomnikach, to może by rzeczywiście wystawić Boyowi pomnik z napisem, którego on chyba był najbardziej godny: „Sapere auso" — człowiekowi, który ośmielił się być mądrym. Tylko... boję się czy sytuacja nie byłaby trochę paradoksalna: czy Boy-brązoburca i autor wierszyka o pomnikomanii wytrwałby długo w posągowej pozie. Raz już zdarzyło się coś podobnego, gdy w roku 1940 przyjaciele urządzili pisarzowi... jubileusz. Boy przyjął to od strony humorystycznej i w czasie uroczystości, wśród powszechnego śmiechu, recytował swój własny wierszyk o tym, jak się robi jubileusz. „Bierze się do tego celu tęgiego starego pryka, sadza się go na fotelu i siarczyście się go tyka".

Więc może by raczej inny pomnik. Otóż wreszcie jest taki pomnik. To „Pisma zebrane" Boya, na których pierwszą siedmiotomową serię rozpoczęła się już subskrypcja.

Tak, to chyba najwłaściwszy pomnik. Bo przecież Boya nie wystarczy czcić, trzeba go czytać. Nie tylko dlatego, że taka lektura daje niewysłowiona rozkosz intelektualna, lecz również dlatego, że się od niej robi w głowach jaśniej. A dla przyszłości naszego kraju taka jasność ma ogromne znaczenie.

DANIEL TRYLEWICZ

JAN GRYGIEL

Dom

Tam, gdzie noc drży w gwiazd sieci, rzeki się kołyszą
jabłka spadają w sadach napęczniałych ciszą

gdzie dniom na zboczach śpiącym miękko chłodzi twarze
wiatr wonny macierzanką w słonecznym pożarze

gdzie czas zastygłą stopą tkwi w letnie południe
jak kamienne posągi u gotyckiej studni

a spod powiek wyrasta, gdy leżysz wśród mięty
kościół storczykiem wieży jak brosza w obłok wpięty

od drogi, którą wiedzie biegnąca brzezina
kończy się świat szeroki — mój dom się zaczyna.

Notatki z jarmarku

Kataryniarz rozwija
z uporem walczyka...
Karuzel rozłączonych
pasiaków i chust.

Wśród kramów łopocących
proporcami perkali
bosy łobuz — „muzyka"
świdruje kołatką.

Przekupnie, magicy
dosiadają okrzyków
cwałujących w ciżbę
żeglują nad głowami
bukietem baloników.

W głębi — na murze krzyczącą
czerwień afiszów przekreślił
niewidomy.
Przesypuje w palcach słońce
twarzą zasłuchany w błękit.

A tuż blisko eksplodują
w milczeniu pąki kasztanów
parasoli rozłożonych
nad wiosennym dniem miasteczka.

Kataryniarz rozwija
z uporem walczyka...

*

* *

W różowych gniazdkach dłoni, gdy otulasz w nie moje oczy — trzepocą motylki płomyków. Nikłe jak oddech konwalii.

Wtedy zaczynam gorzeć od rudych języków czupryny, aż po stygnącą ziemię. Nocami z gorącej lawy słów wytapiam pomniki. Rozpalam latarnie i gwiazdy i słońca nad ziemią by przechodniom o pochyłych plecach było jaśniej w ciemności.

— Jaśniej i cieplej.

Różowe gniazdka dłoni ścierają ścieżki mych trosk z twarzy. Jestem znów radosny i silny jak sztandar na wietrze. Wiersze tryskają mi żywą krwią.

A Ty?

— Dziś zobaczyłem cię płaczącą w ciemnym i zimnym pokoju. — To tylko zmęczenie — rzekłaś, próbując nieśmiało uśmiechu.

JAN PAWEŁ GAWLIK

W KRĘGU ODWRÓCONEGO SCHEMATU

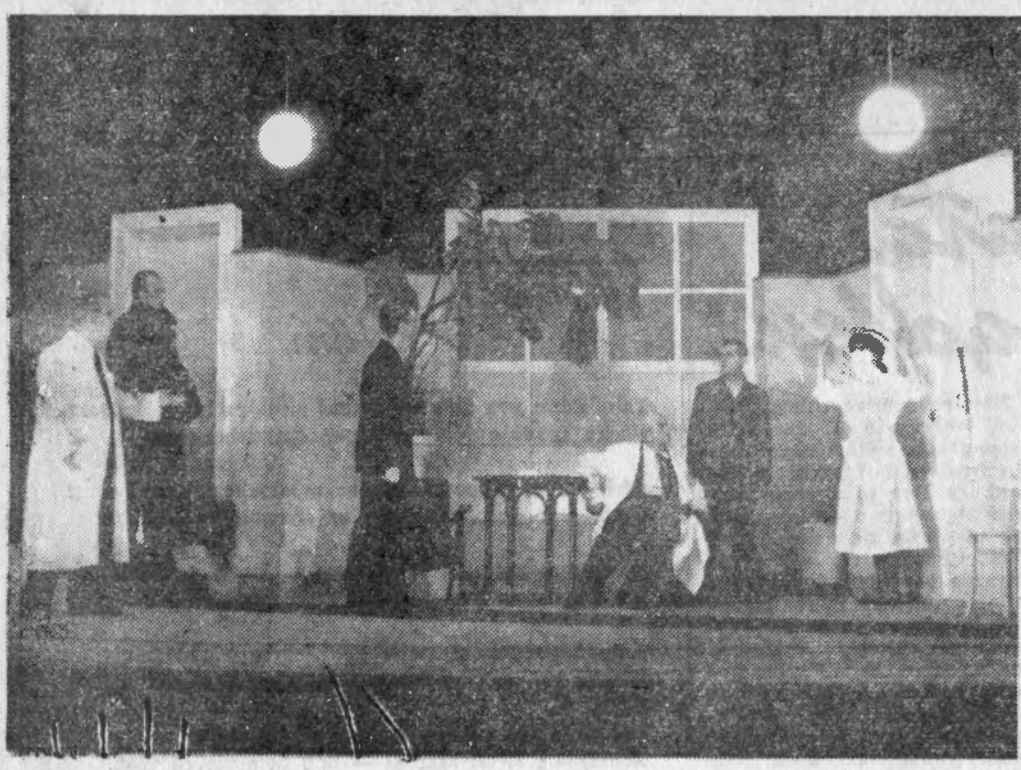

„OSTRY DYŻUR" — Jerzego Lutowskiego na scenie Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej. Reżyseria: Ireneusz Erwan. Współpraca reżyserska: Jerzy Pleśniarowicz. Scenografia: Salomea Gawrońska.

Scena końcowa z aktu III Od lewej: Jan Barski (Brosz), Henryk Kopyciński (dr Korgut) Tadeusz Sobolewicz (Wielgosz), Stefan Michułowicz (dr Machcewicz), Marian Koc (Dąbek), Irena Chudzikówna (siostra Zofia).

NAJPIERW był papier i dużo, dużo sloganów. Podejmowano zobowiązania i przekraczano normy. Kobiety chodziły w kombinezonach a bociany przynosiły dzieci. Sekretarze zawsze mieli rację i byli ludźmi z granitu. Wróg nosił kraciaste marynarki i ział nienawiścią, niezręcznie maskowaną w pompejskiej uległości.

W „Ostrym dyżurze" wróg nie nosi wprawdzie kraciastej marynarki, ale i tak poznajemy go od pierwszej chwili. Jest nim — oczywiście — Brosz. Sekretarz nie ma racji, nie dlatego, że jego postawa jest niesłuszna, ale dlatego, iż nie potrafi narzucić jej partnerom dramatu. Główny bohater jest zupełnie nijaki i gdyby nie sekretarz KP i szef UB, między którymi rozgrywa się główna partia — podejrzewam, że nie istniałby wcale. Trochę życia ma w sobie stary Machcewicz, ale jego „głębie" na odległość rażą płycizną. Jest to filozofia dla ubogich. Brosz to otwarta kanalia, dobrze podpatrzona. Do tego trochę erotyki (dwie młode kobiety, trzecia na dalszym planie). Trochę czystego schematu (Pierzchała) i właściwie mielibyśmy cały „Ostry dyżur".

Ale nie. W sztuce jest coś, co nie pozwala zakończyć recenzji w tym tonie. Jest zręcz na akcja i słuszna, humanistyczna myśl przewodnia, która sprawia, że zamiast bawić się w wyłapywanie tradycji schematycznych w tej programowo antyschematycznej sztuce, oddalonej od poprzedniczek na odległość jednego plenum, zatrzymujemy się i mówimy „coś w tym jest". Co? Nowy typ konfliktu. Tutaj rzekomy „wróg" jest uczciwym, zaszczuwanym człowiekiem, a dramat dramatem nadgorliwości. Wielgosz nie pozwala operować, bo boi się o życie członka kierownictwa oddane w ręce człowieka, który niedawno wrócił z więzienia. Wielgosz jest złym psychologiem, ale prawdziwą postacią, zręcznie zagraną przez **Tadeusza Sobolewicza.**

Rozsądny pogląd na sprawę ma Dąbek, ale nie wystarczy mieć racji trzeba jeszcze mieć autorytet. Dlaczego sekretarz KP nie ma autorytetu u szefa UB tego nie wiem — ale faktem jest, że protest Wielgosza wystarczy, aby załamać bohatera. Tadeusz Osiński ma dość. Ma dość nieufności, podejrzeń, całej tej inkwizytorskiej atmosfery jaką wytwarza Brosz a pogłębia Wielgosz. Przy pierwszej okazji wygarnia tzw. całą prawdę, co jest niewątpliwie zasługą Lutowskiego, dotychczas bowiem przeciwnicy nie mówili na scenie marnego słowa, jakie mogłoby naprowadzić widza na niestosowną myśl, że istnieje czy istniała jakaś subiektywna czy cząstkowa racja, którą karmi się przeciwnik i z jakiej żyje dramat.

Osiński jest zatem załamany, czemu nikt się nie dziwi. Gdy po godzinie daremnego czekania drugi chirurg, wezwany z sąsiedniego miasteczka, nie przyjeżdża, skutkiem czego Wielgosz decyduje się wreszcie powierzyć skalpel w niepewne ręce ex-więźnia — ten odmawia. I znowu nikt się nie dziwi. Nikt z wyjątkiem dwu dam, których motywy są wprawdzie różne, ale kierunek przekonywania ten sam. Obie uważają, że Osiński powinien operować. Ten końcowy konflikt dramatu jest wcale zręczny. Bo zważcie: zaszczuto człowieka i odmówiono mu wiary. Okoliczności jednak zmuszają do cofnięcia niesłusznej decyzji. Decyzja zostaje cofnięta, lecz przedmiot gorliwej czujności ani nerwowo, ani moralnie niezdolny już do wykonania zadania. I Osiński odmawia. Ma rację, której nikt nie kwestionuje, ale okoliczności zmuszają go do czegoś więcej. W życiu nie wystarczy mieć rację, czasem trzeba działać — nie tylko przez negację. Racja obiegowa ściera się z racją wyższą, poza którą kryje się potrzeba gestu, wyrzeczenia, wspaniałomyślności. I zaszczuty Osiński zdobywa się na ten gest. Przechodzi do porządku nad kanalią Broszem, nad krzywdzącą gorliwością Wielgosza i w trudnych warunkach, wyczerpany nerwowo — operuje. W zakończeniu sztuki kryje się wyzwolenie, pokrewne greckiej Katharsis, które wydaje mi się najważniejszą wartością tego dramatu. Wyzwolenie to jest dobrze przygotowane — polega na nagłym, zaskakującym pokazaniu zwycięstwa trudniejszej racji. Zwycięstwo to staje się również osobistym zwycięstwem Osińskiego. Jest dobrze przemyślanym, rodzącym wiarę w człowieka — rozładowaniem dramatu. Szkoda, że poprzedza je tak wiele reliktów schematyzmu.

Aktorzy dość gładko weszli w ton sztuki i grali ją tak jak napisał autor. Jeden może **Witold Gruszecki** wypłatał mu figla, pokazując Osińskiego jeszcze bardziej nijako, niż zrobił to sam Lutowski. Anna — **Jadwigi Ulatowskiej** była przede wszystkim irytującą idiotką, a o to zdaje się chodzi. Machcewicz grany przez **Stefana Michułowicza** nie zawsze miał czysty głos, ale podobała mi się jego gra — o skupionym wyrazie i dobrze wyrażonych środkach ekspresji aktorskiej. Roman Brosz — **Jana Barskiego** był zupełnie wyjątkową kanalią, boję się czy nie za bardzo wyjaskrawioną. **Irena Chudzikówna** jak przystało na aktorkę, kreującą pozytywną postać kobiecą w schematycznej sztuce grała poprawnie, niepotrzebnie tylko przeciągnęła strunę, wmawiając nam, że pozytywne sanitariuszki w powiatowych szpitalach są aż tak szlachetne i nieświadome rzeczy. Kłysiowa — **Heleny Puchniewskiej** bardzo przejaskrawiona, ale komiczna. Dąbek — **Mariana Koca** nazbyt gołębiego serca, zupełnie bez iskry. Całkiem dobry Wielgosz grany przez **Tadeusza Sobolewicza** — chociaż może trochę za bardzo uproszczony i nieco przecież zbyt przeczerniony, głównie w obyczajowej warstwie postaci. Pierzchała — **Józef Jachowicz**, brat Zofii, nie do przyjęcia w sztuce i na scenie. Janina zbyt krótko pokazuje się widzowi, abym odważył się cokolwiek pisać o **Stanisławie Rylskiej** oprócz tego, że była.

Nie jest to gra koncertowa, lecz sztuka też nie jest arcydziełem. Warto ją jednak obejrzeć, bo chociaż mamy za sobą XX Zjazd i wiele się od tamtych czasów zmieniło — problem pokazany przez Lutowskiego nie stracił na aktualności. Dowodzi tego wcale głośna reakcja publiczności — świadcząca o żywotności poruszanych zagadnień. Dowodzi tego ożywiona frekwencja. Dowodzą wreszcie dyskusje, jakie wzbudza sztuka.

„Ostry dyżur" opracowany jest bardzo rzetelnie przez dwu reżyserów: **Ireneusza Erwana i Jerzego Pleśniarowicza.** Nadali oni przedstawieniu żywe tempo trzymając cały czas akcję w granicach zdrowiej sensacyjności, bez szukania „głębi", których w sztuce nie ma. Jedynym odstępstwem od tej zdrowej zasady była rozmowa Machcewicza z Osińskim — gdzie ołówek reżyserski powinien mieć szersze zastosowanie. Również do niezbędnego minimum okroiłbym Pierzchałę — jest on potrzebny tylko do charakterystyki Osińskiego (sprawa wykładów) potem zaś staje się jedynie akcentem odprężenia. Komizm tej postaci jest ubogi, schematyczny — podobnie zresztą jak pierwsza rozmowa Pierzchały z Osińskim. Nie wiem dlaczego Pierzchała musi być aż tak nieopierzonym pętakiem i dlaczego nie „ustawiono" go bardziej na serio, bez silenia się na dowcip, który nie wychodzi.

Lecz to są w gruncie rzeczy drobiazgi. Reżyserzy nie zagubili głównego nerwu dramatycznego „Ostrego dyżuru" — odwrotnie: wydobyli go starannie dobrze, prowadząc sztukę do wyzwalającego zakończenia. Ratowali ją jak mogli przed głośnym szelestem papieru — z dość różnym co prawda rezultatem, lecz z uporem godnym uznania. Neutralne ściany, fotele i biurka z przyzwoitego szpitala przeniosła na scenę **Salomea Gawrońska.** Asystentem reżysera był **Witold Gruszecki.** Kierownikiem technicznym **Aleksander Król.** Inspicjentem — **Henryk Kopyciński,** suflerem **Aleksandra Stróżyńska,** malarzem **Kazimierz Drupka,** kostiumami zajmowali się **Irena Szenborn i Wawrzyniec Szczepański,** peruki zaś zmajstrował dla potrzebujących **Kazimierz Baran.**

JAN PAWEŁ GAWLIK

Scena z aktu II Od lewej Stefan Michułowicz (dr Machcewicz), Witold Gruszecki (dr Osiński).

Julia Hartwig

TROCHĘ O MALARSTWIE W PARYŻU

KIEDY w Warszawie święci triumfy retrospektywna wystawa malarstwa francuskiego — „Od Davida do Cezanne'a" — w Paryżu trwa nadal nieustający sezon wystawowy. Dla muzeów i galerii nie ma w stolicach świata „martwych sezonów". Co prawda wielu mieszkańców Paryża wyjeżdża na wieś w okresie kanikuły, ale w tym samym czasie napływają tu tysiące zagranicznych turystów, stanowiących z reguły klientelę muzeów. Oczywiście, ludzie, którzy przyjeżdżają do Paryża na kilka krótkich tygodni, z trudem zdołają obejrzeć choćby część malarskich zbiorów stałych, dostępnych publiczności: olbrzymie, liczące dziesiątki sal muzeum w Luwrze, zapełnione arcydziełami malarstwa światowego, Muzeum Impresjonistów, przebogate Muzeum Sztuki Współczesnej i inne. Mimo to jednak nikt z amatorów malarstwa nie oprze się chęci, by obejrzeć choćby jedną czy dwie wystawy okresowe, poświęcone współczesnym twórcom. Największa magią przyciągającą obdarzone są zwłaszcza „wielkie nazwiska". Bo przecież współczesne malarstwo francuskie to wciąż jeszcze Matisse, Picasso, Léger czy Rouault.

Tak się złożyło, że „stara gwardia" malarska to grupa twórców wielkiej miary, którym udało się szczęśliwie osiągnąć wiek sędziwy w pełni sił twórczych. Niestety, w ostatnich latach śmierć zabrała sędziwego już Matisse'a, przed rokiem zaś zmarł Fernand Léger, którego obrazy wystawione były w salach warszawskiej „Zachęty" na ostatniej wystawie współczesnego malarstwa francuskiego.

Ósmego czerwca otwarto w Paryżu pełną wystawę jego prac. To dużej miary wydarzenie miało miejsce w jednej z sal Luwru, w sąsiedztwie dawnych mistrzów. Fakt ten oznacza niezawodnie, że malarstwo, które budziło sporo dyskusji za życia Légera, przyjęte zostało oficjalnie do wielkiej skarbnicy francuskiej sztuki. Z okazji tej wystawy znany pisarz francuski, André Maurois, wspomina w artykule poświęconym Fernandowi Léger okres wojenny kiedy to wraz z nim i znanym kompozytorem Dariusem Milhaud, we trójkę wykładali, każdy swoją specjalność, w jednym z college'ów amerykańskich. Ciekawy to fakt, że jakaś szkoła miała — choćby przez krótki okres i przypadkowo — tak niezwykłych trzech wykładowców, wygnanych z kraju przez wojenną zawieruchę. Pamiętam, że przed kilku laty, podczas pobytu w Paryżu, miałam okazję odwiedzić pracownię Légera. Było to z okazji wyświetlania tam filmu o jego malarstwie. W wielkim atelier pełno było młodzieży, na ścianach obrazy. Gospodarz, ciężki mężczyzna o niezwykle dobrej, jowialnej twarzy z dużym, mięsistym nosem, ubrany byle jak, wyglądający raczej na robotnika czy hodowcę wina, gestykulował, otoczony grupą uczniów. Dziś uczniowie ci zostali osieroceni. Czy któryś z nich dorówna mistrzowi talentem i siłą indywidualności?

Następne wielkie nazwisko, które spotykamy w przeglądzie galerii — to słynny Picasso. W jednej z prywatnych galerii wystawione są jego rysunki od 1903 do 1956 roku; tytuł wystawy brzmi „Pół wieku rysunku Picassa". Olbrzymi to zbiór, bo, jak wiadomo, Picasso jest niestrudzony w pracy. Powiedział on kiedyś o sobie dowcipnie: „Malarstwo to moje skrzypce Ingresa. Kiedy kończę malować, malują je jeszcze dla rozrywki".

Po tej wspaniałej a tak bardzo od siebie różnej dwójce, obejrzeć można jeszcze w paryskiej galerii trzeciego malarza, jakże od nich obu znów innego: mowa tu o Georges Rouault. Wielki ten malarz, słynący zwłaszcza z obrazów o treści religijnej, znany jest dziś i kupowany za wielkie pieniądze na całym świecie. Malarz ten, cieszący się olbrzymią sławą i majątkiem, żyje w samotności, z dala od ugrupowań artystycznych i bez uczniów, nie dba o reklamę i rozgłos.

Z TEKI PLASTYKÓW RZESZOWSKICH

IRENA WOYNICKA DZIEWCZYNA I KWIATY

JAN KASPROWICZ

Wspomnienie o poecie i jego dziełach w 30 rocznicę śmierci

W dniu 1 sierpnia br. mija trzydzieści lat od zgonu Jana Kasprowicza. W związku z tą rocznicą powołano komitet obchodu uroczystości z ministrem Kultury i Sztuki, Karolem Kurylukiem i z żoną poety, Marią Kasprowiczową na czele. Głównymi centrami obchodów są: Zakopane, gdzie stanął pomnik poety oraz rodzinna miejscowość Kasprowicza Szymborz koło Inowrocławia. Zapowiedziane jest wznowienie dzieł poety. Wydawnictwo Literackie w Krakowie drukuje „Dzieła zbiorowe", obszerne wybory utworów wyda „Czytelnik i Spółka Wydawnicza „Pax".

JUŻ ZA ŻYCIA poety wiele o nim pisano, co u nas należy raczej do rzadkości. Doczekał się też Kasprowicz zbiorowego wydania swych dzieł. Śmierć autora „Księgi ubogich" w dniu 1 sierpnia 1926 r. na Harendzie w Zakopanem wywarła też powszechną żałobę. Szanowali i czcili poetę twórcy tej miary, co T.T. Jeż, który napisał przedmowę do pierwszego tomu poezji Kasprowicza, Tetmajer, Przesmycki i Staff.

Mimo olbrzymich skoków historii od chwili śmierci autora „Hymnów", wiele jego utworów zachowało świeżość i aktualność, co wystarczy, aby nadal oddziaływać na uczucia i wyobraźnię czytelników. Dzieje się to i z tej również przyczyny, że poważna część twórczości Kasprowicza przesycona jest refleksją społeczną. Obrazami nędzy i krzywdy ludu polskiego targał poeta sumieniem społecznym. W „Księdze ubogich" (Lwów, 1916) sam poeta wyznaje:

Wszystko, co tylko jest w duszy
z najszlachetniejszej przędzy,
ludzkiemu oddaję cierpieniu,
ludzkiej poświęcam nędzy.

Ten cel zawarł poeta w licznych zbiorach, jak: „Z chłopskiego zagonu" (Lwów, 1891), „Moja pieśń wieczorna", „Z chałupy", „Obrazki", „Ginącemu światu" (1902) i ostatni „Mój świat" (1926).

Poezja Kasprowicza wynika z najgłębszych pokładów serca i duszy.

Poeta pochodził z Kujaw, najstarszej kolebki Polski, wyrósł z ludu, którego życie znał i rozumiał. Odwiedziwszy w roku 1910 rodzinne strony, poeta snuje rzewne wspomnienia:

Pamiętam te piaski nad wodą,
Gromniczne pamiętam dziewanny
I poszept tych fal nieustanny,
Co pieśni tajemnicą bezsłownych więziły
Moją duszę młodą.
. . . . . .
Pamiętam to wzgórze śród pola,
Zarosłe wrzosami, gdzie leże
Polegli znaleźli rycerze,
I trakt ten dobrze pomnę, którym po wiek wieków
Smutna chodzi Dola.

Płomień poezji ogarnął Kasprowicza jeszcze na ławie szkolnej. Germanizacyjnemu uciskowi pruskiemu przeciwstawiła młodzież tajne kółka, czytając na swych zebraniach wielką poezję romantyczną. Tęsknota za swobodną myślą polską i uniesienie patriotyczne przeszkadzały jednak w nauce, tym więcej, że trudność położenia pogłębiała bieda.

Jan Kasprowicz urodził się bowiem w chłopskiej chacie w Szymborzu, dnia 12 grudnia 1860 roku, jako syn Piotra i Józefy z Kloftów. Gdy miał 10 lat udało się go zapisać do gimnazjum w Inowrocławiu. O czasach tych poeta pisał w roku 1888 do redaktora Adama Wiślickiego: „Od młodości chowałem się w stosunkach najsmutniejszych. Dostawszy się do gimnazjum, sam nie wiem, w jaki sposób, musiałem chodzić do domu 3/4 mili, nieraz w śniegu i szarudze; przez osiem lat dostawałem, idąc do szkoły, na dzienne pożywienie 10 fenigów; zimą nie miałem nigdy ciepłego okrycia nawet, bo pierwsze palto otrzymałem mając lat 17, za cenę 5 talarów. Toteż nabawiłem się choroby gardłowej, która mnie trapiła przez lat czternaście".

Incydenty z nauczycielami niemieckimi wypędzały poetę ze szkół, nic więc dziwnego, że tułał się po gimnazjach Poznania, Opola i Raciborza, aż wreszcie uzyskał świadectwo dojrzałości po czternastu latach nauki, w gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu w roku 1884. W tym samym roku wstępuje na uniwersytet w Lipsku, gdzie studiuje filologię klasyczną, literaturę niemiecką i historię kultury. Niestety, studia te nie były formalnie zweryfikowane w indeksie akademickim, gdyż Kasprowicza nie było stać na opłacenie czesnego. W Lipsku zetknął się syn ziemi kujawskiej ze znanym socjologiem, Ludwikiem Krzywickim, który wówczas kończył tłumaczenie „Kapitału" Marksa. Krzywicki przyjął Kasprowicza do założonego przez siebie koła studentów i niewątpliwie wpłynął na poetę, aby zapoznać go bliżej ze sprawami społecznymi. Wyrazem nurtujących wtedy Kasprowicza tendencji jest wiersz pt. „Wolności, światła i chleba", który zaczyna się słowami:

Wolności, światła i chleba!
Wołamy z głębi tych cieni,
Nowego życia spragnieni
I głodni nowego nieba:
Wolności, światła i chleba!

Aby zbliżyć się do rodzinnego domu, skąd nadchodziły od czasu do czasu paczki z żywnością, przenosi się Kasprowicz do Wrocławia, gdzie studiowała wtedy poważna liczba Polaków, skupionych w ośmiu kołach studenckich. Tu w roku 1887 odsiedział poeta pół roku więzienia zamieszany w polityczny proces o ukrywanie polskiego rewolucjonisty z Królestwa.

Systematyczną pracę literacką rozpoczął Kasprowicz we Lwowie, gdzie osiedlił się w roku 1889, pisząc w „Kurierze Lwowskim" recenzje teatralne i utwory poetyckie. Kasprowicz ogromnie dużo czytał i wiele podróżował. Znał dobrze języki i kulturę powszechną. Był dzięki temu znakomitym tłumaczem najwybitniejszych twórców literatury światowej od Ajschylosa i Eurypidesa, poprzez Tassa, Szekspira, Goethego, Byrona, Schillera do współczesnych mu Ibsena i Rabindranatha Tagore. Uzyskawszy w roku 1904 doktorat na uniwersytecie lwowskim, wykładał tam następnie literaturę porównawczą. Wnet też zaliczony został w poczet członków Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

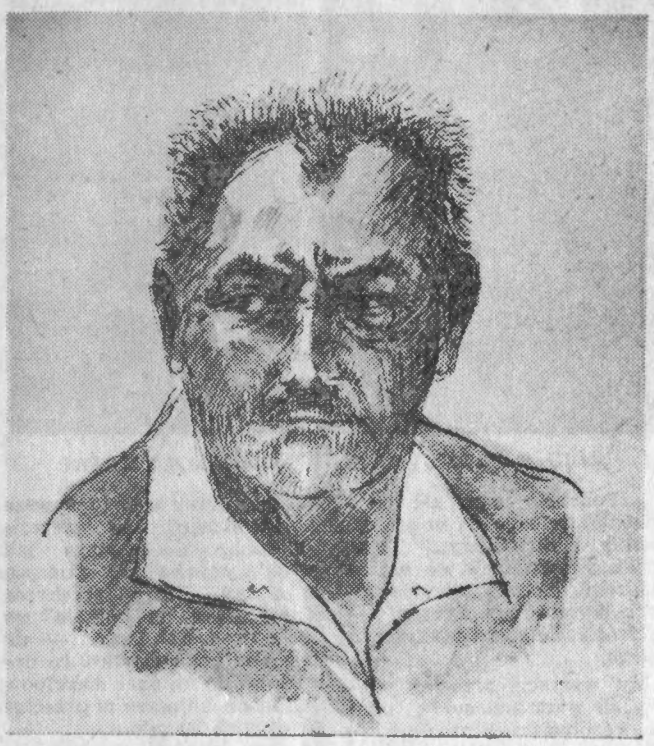

Dzięki wysokiej kulturze osobistej i mistrzostwu w sztuce poetyckiej utwory jego mimo ogromnej żywiołowości utrzymane są w dyscyplinie artystycznej. Zygmunt Wasilewski, przyjaciel poety i autor pierwszej o nim monografii wydanej jeszcze w 1923 roku, pisze o autorze „Buntu Napierskiego".

„Wyczuwał i kochał rzeczy niepodrabiane, zgodne z naturą człowieka tworzącego, widząc tylko w takich wartościach przejaw życia powszechnego, ponad które nie miał nic wyższego... Tchnęło od niego humanizmem Marka Aureliusza nie przez to, żeby wygłaszał sentencje, tylko że miał we krwi harmonię człowieka jednolitego, zgodnego z prawem natury".

Kasprowicz nie cierpiał pozy, udawania oraz obłudy, smuciła go sztuczność, irytowała małość — zarówno w życiu, jak i w sztuce. Cenił tylko ludzi o głębokim życiu wewnętrznym. Nie mając takich w otoczeniu, usuwał się od życia towarzyskiego i zamykał w sobie. Uważając poezję za drogę dochodzenia prawdy, wołał:

O, wielcy i syci tej ziemi!
Cóż z wami łączyć mnie może?

Poprzez tematy aktualne i najświeższe starał się dotrzeć do istoty zagadnienia, poprzez przemijające usiłował dostrzec to, co wieczne i trwałe, poprzez sprawy jednostek dochodził do problemów ogólnoludzkich. Centralną osią, wokół której każe obracać się całemu swemu układowi artystycznemu i filozoficznemu, czyni sumienie. Dążąc zawsze do szczytów, on syn żyznych nizin kujawskich ukochał głęboko góry, zamieszkał u podnóża Tatr i tam polecił się pogrzebać. Góry obdarzyły go nowym tchnieniem poetyckim, pozwalając tworzyć piękne i malownicze obrazy przyrody i nasycać jej głębokimi treściami życia ludzkiego. Oto wiersz ze zbioru „Krzak dzikiej róży" (1898):

W ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,
Gdzie pawiookie drzemią stawy,
Krzak dzikiej róży pęk swój krwawy
Na plamy szarych złomów ciska.
. . . . . .
Cisza... O liście wiatr nie trąca,
A tylko limba próchniejąca
Spoczywa obok krzaku róży.

Góry dały poecie poczucie wiary w siebie, przywróciły mu spokój zburzony tragediami rodzinnymi, a wreszcie natchnęły go poczuciem siły, wyrażonym np. w wierszu „Wiatr halny":

Huczy nade mną halny wiatr... Daleki
Wprzód mnie dochodzi szum i świst, a potem
Z jakimś pogwarem, trzaskiem i łomotem
Ciężar się kładnie na wysmukłe smreki.
. . . . . .
Idę, więc idę, po jęczącym borze...
I choć spotykam pnie, wyrwane z ziemi,
Ten szał, w błękitnym zbudzony przestworze
By giąć i walić, strachu mi nie wlewa
Do głębi wnętrza: Rad bym siły swemi
Zmierzyć się z wichrem, jak te wielkie drzewa.

Kasprowicz rozpoczął w poezji polskiej nowy rozdział. Najtrafniej wyraził idee swych czasów. Zaczął od poezji społecznego buntu. Jeden z pierwszych jego poematów „Z nizin", to namiętne oskarżenie ustroju krzywdy i wołanie o sprawiedliwość dla ludu, dla chłopa — wyrobnika. Do ostatniej chwili swego życia, które zgasło dnia 1 sierpnia 1926 r., pozostał poeta wierny ludowi. W zbiorze „Z chałupy" pozostawił ludowi swe serdeczne przesłanie:

Szare chaty! Nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...
Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! Czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy!?

JERZY LIS

TYLKO DLA MELOMANÓW

Już wkrótce miłośnicy muzyki będą mogli nabyć szereg nowych, atrakcyjnych płyt przygotowanych przez PP „Polskie Nagrania".

M. in. ukażą się na jesieni nagrania tak wybitnych i poszukiwanych przez melomanów dzieł, jak V Symfonia Beethovena, symfonia Es-dur i „Eine kleine Nachtmusik" Mozarta, V Symfonia Czajkowskiego, I Symfonia Brahmsa oraz poematy symfoniczne:

„Noc na Łysej Górze" Musorgskiego i „Zaczarowane jezioro" Liadowa. Dzieła te nagrane zostały przez Wielką Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia w Stalinogrodzie pod dyrekcją Jana Wrenza i Witolda Rowickiego.

Z muzyki współczesnej otrzymamy jedno z najbardziej znanych dzieł Dymitra Szostakowicza — V Symfonię, w wykonaniu Orkiestry Filharmonii Narodowej w Warszawie pod dyrekcją Bogdana Wodiczki.

Ze współczesnej muzyki polskiej nagrano „Concerto Grosso" Bolesława Szabelskiego, „Toccatę" Michała Spisaka, zaś z muzyki dawnej — „Andromedę" Józefa Elsnera.

Dla miłośników muzyki ludowej PP „Polskie Nagrania" przygotowało płyty z piosenkami ludowymi w wykonaniu zespołu „Skolimów".

Z muzyki operowej dokonano nowych nagrań arii z oper Mozarta, Verdiego, Pucciniego, Moniuszki i in. w wykonaniu naszych znanych solistów Stefanii Woytowicz, Marii Fołtyn, Wandy Wermińskiej, Andrzeja Hiolskiego, Bogdana Paprockiego i Edmunda Kossowskiego z towarzyszeniem Orkiestry Filharmonii Narodowej pod dyrekcją Arnolda Rezlera.

Miłośników muzyki tanecznej i rozrywkowej zainteresują niewątpliwie płyty z nagraniami słynnych orkiestr jazzowych Kurta Henkelsa (NRD) i Karela Vlacha (CSR) oraz piosenki kompozytorów polskich w wykonaniu: Marty Mirskiej, Nataszy Zylskiej, Juliana Statlera, Bogdana Niewinowskiego i innych z towarzyszeniem orkiestr jazzowych.

Przygotowano również wiele nagrań w wykonaniu znanych aktorów polskich. Płyty te — z cyklu zatytułowanego „Sylwetki aktorów" — cieszą się dużym powodzeniem wśród miłośników żywego słowa.

Z cyklu tego nagrano ostatnio „Ballady" Bertolta Brechta i wiersze F. Garcia-Lorci, recytowane przez Irenę Eichle równę, z muzyką Andrzeja Markowskiego oraz wiersze Juliana Tuwima i Leopolda Staffa, recytowane przez Wojciecha Brydzińskiego.

Miłośników poezji zainteresuje wiadomość, że PP „Polskie Nagrania" przygotowało również płytę z wierszami Władysława Broniewskiego, recytowanymi przez autora.

RĘKOPIS KOPERNIKA i jego dzieje

GRUBY foliał złożony z pół arkuszowych kart zeszytych nićmi. Strony rękopisu zapisane po łacinie równymi gotyckimi literami. Atrament różnych gatunków, dziś zrudziały i miejscami wyblakły. Pełno tablic matematycznych i rysunków geometrycznych wykonanych pieczołowitą ręką. Niektóre tablice i ustępy przekreślone, na marginesach dopiski i rysunki. Na karcie tytułowej czerwonym inkaustem słowa:

DE REVOLUTIONIBUS

Tak bowiem chciał Kopernik nazwać swój wiekopomny system.

* * *

TRZYDZIEŚCI lat namyślał się czy ogłosić światu swoją teorię. Trzydzieści lat, w których każda śmielsza myśl głośno wypowiedziana groziła inkwizycją i stosem. Trzydzieści lat spędzonych we fromborskiej samotni, sam na sam z własnymi tylko myślami i gwiaździstą otchłanią.

I oto pewnego dnia zjawia się u bram fromborskiej katedry przybysz z dalekich Niemiec, młody uczony wirtemberski, Jerzy Joachim Rotyk. Ryzykując wyklęcie przez protestanckich teologów, trzymających się kurczowo i ślepo słów Pisma Świętego i geocentrycznego systemu Ptolemeusza, śpieszy do dalekiej Warmii, aby zaczerpnąć prawdy u samego źródła owych słonecznych objawień, o których głuche wieści chodziły już od dawna po Europie. Przyjeżdża i przez dwa lata nakłania wielkiego astronoma, aby dał poznać światu swoje odkrycie, aby nie zabierał go do grobu. Kopernik waha się, wreszcie ulega. Rotyk odwozi rękopis do Norymbergi, polecając opiekę nad nim Andrzejowi Ossiandrowi, pastorowi w Norymberdze.

Czyniąc zadość prośbom swego przyjaciela, Ossiander oddał rękopis do druku, ale zmienił samowolnie tytuł dzieła na „De revolutionibus orbium coelestium". W swej teologicznej gorliwości Ossiander dopuścił się jeszcze jednego fałszerstwa: zataił prawdziwą przedmowę Kopernika, która po raz pierwszy ukazała się drukiem dopiero w 1854 r. w Warszawie. W jej miejsce dał całkowicie sfałszowaną, napisaną rzekomo przez Kopernika, w której przedstawia on rzekomo swoje twierdzenie jako problematyczne. Pierwsze wydanie dzieła Kopernika ukazało się w 1543 r., a rękopis pozostał w Norymberdze.

* * *

„ŁACNO mogę wyobrazić sobie, jak niektórzy ludzie, ledwo dowiedziawszy się, że w swojej pracy o obrotach ciał niebieskich przypisują kuli ziemskiej znane ruchy, natychmiast podniosą larum, domagając się niezwłocznego sądu nad moimi poglądami. Nie jestem zaślepiony tak dalece, żebym nie przywiązywał wagi do tego, co mówią inni. Wiem atoli, że myśli filozofa nie podpadają pod sąd tłumu, albowiem jego obowiązek polega na poszukiwaniu prawdy wszędy...

Jeżeli się przypadkiem znajdą lekkomyślni, którzy nie obeznani z żadną częścią matematyki zechcą wszędzie o każdej sąd swój dawać, powołując się na pewne miejsca Pisma Świętego, źle do tego celu naciągnione i ośmielą się dzieło moje ganić i potępiać, oświadczam, iż o takich wcale nie dbam tak dalece, że nawet ich sądem jako płochym gardzę".

Jakąż radością było dla uczonych, gdy te śmiałe słowa, odebrane przez Ossiandra Kopernikowi, mogli odczytać, wertując czterechsetletni foliał, gdy w roku 1963 znalazł się on znów na ziemi polskiej. Został on zbadany skrupulatnie przez grono uczonych (pod kierunkiem prof. Birkenmayera), przygotowujących się do krytycznego, pierwszego pełnego wydania tej wiekopomnej pracy.

* * *

RĘKOPIS wędrował długo po świecie, zanim trafił z powrotem do Polski.

Po śmierci Kopernika Retyk przenosi się do Krakowa, gdzie otrzymuje miejsce „królewskiego astrologa" na dworze Zygmunta Augusta. W tym czasie przywozi rękopis Kopernika z Norymbergi i przechowuje go jako swoją najcenniejszą pamiątkę. Po kilku latach Retyk z jednym ze swoich uczniów wybiera się do Niemiec drogą południową — przez dolinę Wagu. Zaskakuje go w drodze wielka burza i oberwanie chmury. W potokach deszczu przeprawia się przez jedną z wezbranych rzek górskich, przy czym łódź tonie. Ratuje się uczeń Rotyka — Walenty Otho — i chwyta kołyszący się na falach rękopis Kopernika, przewożąc go do Heidelbergu. Po jego śmierci rękopis dostaje się do rąk profesora Christmana, a w jedenaście lat później od wdowy po nim odkupuje go słynny uczony czeski, Jan Komensky. W połowie XVII w. rękopis Kopernika znajduje się w posiadaniu czeskiego magnata, barona Nostitza.

Kiedy w połowie ubiegłego stulecia inwentaryzowano w Pradze prywatną bibliotekę Nostitzów, natrafiono w starym rejestrze na następującą pozycję: „De revolutionibus" Mikołaja Kopernika, rękopis — cena inwentarzowa 30 grajcarów". Wieść o niezwykłym odkryciu obiegła całą kulę ziemską, a Praga stała się na pewien czas celem naukowych pielgrzymek.

Od tego czasu rękopis kopernikański spoczywał w bibliotece Nostitztów aż do zakończenia drugiej wojny światowej, kiedy to przeszedł na własność Republiki Czechosłowackiej.

W 1953 r. wypożyczono go na Wystawę Odrodzenia w Warszawie. Tysiące osób mogły podziwiać nieśmiertelne dzieło wielkiego astronoma, umieszczone w gablotce za szkłem, a uczeni — przeprowadzać nad nim szczegółowe badania. Obecnie, dzięki wielkoduszności rządu Czechosłowacji, rękopis Kopernika pozostanie na zawsze w jego ojczyźnie.

ADRIAN CZERMIŃSKI

Kronika Kulturalna

370 WYSTĘPÓW — oto dorobek kwartetu męskiego Związku Zawodowego Pracowników Handlowych w Rzeszowie. Zespół ten prowadzony przez Tadeusza Imiołka i występujący w składzie: pierwszy tenor — Henryk Tiszler, drugi tenor — Adam Piątek, baryton — Władysław Antos, i bas — Roman Dyka obchodził niedawno pięciolecie swego istnienia. Repertuar kwartetu handlowców obejmuje ponad 50 utworów w opracowaniu muzycznym kierownika zespołu, który podczas występów akompaniuje na akordeonie. Warto podkreślić, że obok wielu sukcesów odniesionych w eliminacjach powiatowych w roku ubiegłym czwórka odniosła poważny sukces w skali ogólnopolskiej uzyskując zaszczytne wyróżnienie na Centralnych Eliminacjach Zespołów Artystycznych we Wrocławiu.

*

W KRAKOWIE odbyła się uroczysta premiera „Halki" Moniuszki w wykonaniu Opery Robotniczej przy Wojewódzkim Domu Kultury Zw. Zaw. W spektaklu tym uczestniczy blisko 300-osobowy zespół wykonawców przygotowany przez twórcę Opery Robotniczej, inscenizatora i reżysera nowego krakowskiego przedstawienia Halki prof. Drabika. Kronika kulturalna odnotowuje udział w przedstawieniu kierownika artystycznego Wojewódzkiej Orkiestry Symfonicznej Janusza Ambrosa, który przygotowywał „Halkę" muzycznie i wystąpił za pulpitem dyrygenta.

*

MIJA właśnie dwadzieścia lat od ważnego wydarzenia kulturalnego, jakim było wystawienie w latach międzywojennych inscenizacji „Kordiana i chama" Leona Kruczkowskiego przez zespół teatralny z Markowej (pow. Łańcut). Opracowanie dramaturgiczne było wspólnym dziełem autora powieści i dyrektora warszawskiego teatru „Comoedia" — Eugeniusza Pożedy. Inicjatorem i reżyserem przedstawienia w Markowej był kierownik zespołu Mieczysław Flejszar, znany działacz i publicysta ludowy, który wiosną 1945 roku jako kierownik fabryki włókienniczej w Rakszawie zginął od bandyckiej kuli. Z okazji wystawienia w Markowej „Kordiana i chama" warto przypomnieć, że wieś odwiedził Leon Kruczkowski udzielając aktorom cennych objaśnień i wskazówek. O przedstawieniu markowian pisał na łamach „Sygnałów" 11 lipca 1937 roku w artykule pt. „W chłopskim teatrze" Franciszek Gil: „A gdy „Teatr Ludowy" Koła Młodzieży w Markowej zagrał „Kordiana i chama, w Przeworsku salę wypełniło 600 chłopów i 7 miejscowych inteligentów. Przyszli z okolicznych wsi, mimo niepogody i stoły siedzieli wszyscy do 12 w nocy, żaden nie wyszedł przed końcem przedstawienia". W roku 1937 zespół z Markowej wystąpił z „Kordianem i chamem" w przemyskim Domu Robotniczym doznając entuzjastycznego przyjęcia ze strony robotniczej widowni. W przedstawieniu tym wziął udział Leon Kruczkowski gorąco oklaskiwany i długo wywoływany po zapadnięciu kurtyny. Czy nie należałoby — sięgnąć do tych większych tradycji — wystawić znowu „Kordiana i chama" w Markowej, gdzie egzemplarz inscenizacji sprzed 20 lat został pieczołowicie przechowany przez uczestników dawnego przedstawienia? Propozycja godna zastanowienia i realizacji.

*

MIESZKAŃCY Jarosławia z uznaniem wyrażają się o nowym przedstawieniu Zespołu Artystycznego „Scena" przy Prezydium MRN. Jest to komedia Marivaux „Igraszki trafu i miłości" (przekład Tadeusza Boya-Żeleńskiego) przygotowane reżysersko przez założyciela i organizatora zespołu Stanisława Zielińskiego. W „Igraszkach trafu i miłości" udział biorą Teresa Abówna (Sylwia), Maria Bednarówna (Lizeta), Tadeusz Batowski (Orgon), Zbigniew Szajowski (Mario), Kazimierz Puchata (Dorant) i Józef Dudek (Paskin). Przedstawienie zamyka stylowy taniec układu dyr. Lidii Nartowskiej.

*

W POWIECIE dębickim podczas Powiatowego Przeglądu Wiejskich Zespołów Teatralnych komisja pod przewodnictwem ob. Bolesława Mroczka spośród 10 uczestniczących zespołów wyróżniła następujące: Łęki Dolne (komedia Słotwińskiego i Skowrońskiego „Przyjmujemy o 8,30) Żyraków (wodewil Drygasa i Sikiryckiego „Co komu winna spółdzielnia gminna"), Brzeźnica („Nowy Don Kiszot" Aleksandra Fredry) oraz Strzegocice (sztuka Aleksandra Ostrowskiego „Panna bez posagu"). Poziom zespołów był na ogół dość dobry i wyrównany, słabiej natomiast przedstawiała się praca oświatowa i wychowawcza.

*

Z PÓŁEK księgarskich Domu Książki w Rzeszowie znikły rozchwytane w ciągu kilku godzin egzemplarze opowiadań Ernesta Hemingwaya „Śniegi Kilimandżaro" (PIW, 1956). Ernest Hemingway to wybitny prozaik amerykański uczestnik dwu wojen światowych i wojny hiszpańskiej w roku 1936, laureat Nagrody Nobla w 1953. Celuje w krótkich zwartych opowiadaniach kryjących pod powłoką lakonicznego beznamiętnego sprawozdania wstrząsające w swoim tragizmie konflikty i dramaty ludzkie.

Recenzja filmowa

PRETENSJE O BRAK RYBIEGO OGONA

ALICJA JANKOWSKA (PWST) W ROLI KASKI

„...Podobało nam się opowiedzieć tę legendę w sposób wesoły i żartobliwy..." Takie słowa usłyszeliśmy we wprowadzeniu narracyjnym do filmu „Warszawska Syrena" — reżyserii Tadeusza Makarczyńskiego.

My wszyscy przecież wiemy, że warszawiacy są ludźmi wesołymi, „filutkami" — no i tym razem znowu nas trochę nacięli. Bo oczekujemy dużo wesołych spięć, żartów, krotochwil i w efekcie z początku trochę się nudzimy. Z braku krotochwili musimy wzdychać na nutę: „Oj, piękna ż ta polska ziemia", kiedy przewijają się przed nami takie przesadnie polskie obrazy — rzędy starych drzew, gaje, łąki, nęcące oko swoją zielonością, błękitne niebo (też „typowo" polskie). A kiedy jeszcze usłyszymy pieśń Stefanii Wójtowicz — Syreny — jesteśmy wzruszeni. Ale cóż — wzruszenie to taki stan, który z zasady trwa bardzo krótko. Z momentem zanikania wywołuje w człowieku wewnętrzną potrzebę odprężenia; po łzach radość. Chcemy się śmiać, bawić...

I tu warszawska „Syrena" nie spełnia zadania. Są wprawdzie dość zabawne sytuacje z koniem, który staje przed gadułą Maćkiem jak zły duch, przypominając o przyrzeczeniu; jest wspaniała sentencja, wygłoszona przez Boguchę: „W tym Krakowie to zawsze coś się dzieje". Jest wreszcie komiczna, ale i „stara jak świat" scenka z głuchym dziadkiem, który przekręca zdanie „Dziś na polanie" na „Dziwun dostał lanie" — ale to chyba już wszystko, co pretenduje do miana dowcipów i co może śmieszyć w przeciągu długich 90 minut.

Konflikt miłosny Warsza i Sawy, moim zdaniem, zupełnie słabiutki. Śliczną legendę o dwojgu młodych można było pokazać bardziej przekonywająco, zresztą tak samo, jak i miłość Kobylichy do Warsza. Można sobie było pozwolić na większe jeszcze nieścisłości z legendową historią, kosztem lepszej sugestywności. Czary Kobylichy są mało ciekawe, zrobione według jakiejś reguły, która nużąco się powtarza; ciągle im towarzyszą czerwone kłęby dymu, mające za zadanie wywoływać nie zwykłe efekty. Przyznacie, że to dość nudnawe. Podobał mi się tylko naprawdę bardzo „baśniowy kot", nawiasem mówiąc, może lepiej przyuczony do swej roli niż niejeden aktor.

Trzeba stwierdzić, że sama koncepcja filmu jest ciekawa i dość niezwykła. Czary, gusła, przesądy, dziwuny i syreny — to świat, który każdy chętnie dziś obejrzy. Że nie jest ten świat zabawny, to moja największa pretensja pod adresem twórców. Fakt ten jeszcze raz dowodzi, że humor i satyra polska (bo i satyrą przypuszczalnie miała być „Warszawska Syrena") nie chcą się zbytnio przemęczać.

I jeszcze jedno — nareszcie wśród naszych „gwiazd" tyle ładnych twarzy. I to na prawdę ładnych. Sawa, którą gra Barbara Połomska (studentka PWST) urzeka nas swoim czarem młodości i urody. Tak chyba każdy z nas wyobrażał sobie prawdziwie polski typ dziewczęcy. O Syrenie nie powiem sama nic — najlepiej o jej uroku niech świadczy westchnienie jakiegoś miodziana siedzącego za mną. Westchnął tak głośno i szczerze, że usłyszała dziewczyna z którą przyszedł, no i natychmiast zareagowała sykiem: „Baba, jak wszystkie inne, a ty siedź spokojnie". I na koniec jeszcze jedna pretensja zwolenniczki fantastyki: dlaczego nie pokazana była syrena z rybim ogonem? Cały czas czekałam na ten widok i nie doczekałam się. W Hollywood, proszę reżysera, to byłaby okazja do zaprezentowania przynajmniej tuzina „autentycznych" kobiet-ryb; u nas to nawet jednego ogona nie można zobaczyć. Wybaczam to jednak, bo Syrena na prawdę była uosobieniem piękna. Zamiast rybiej łuski — podziwiałam jej złotą kosę.

K. ŚWIERCZEWSKA

Karol Dusza

FRASZKI

DEWOTKA

Dobrze żyje z klerem
Źle ze Sztaudyngerem

KANWA PEWNEGO POETY

Ma wiele bożych iskier
Stąd rymy kalwaryjskie.

ZNANY PROZAIK

Nie jest plagiatorem (jak mówią złośliwi)
Tylko konsumentem bo
plagiat go żywi.

PEWIEN DYREKTOR

Na krytyków działa
podwójnym atutem
Bezpośrednio butą i
pośrednio butem

NIEKTÓRE BIAŁOGŁOWY

Imponują morałem
Gdy nie mogą ciałem

MŁODA FILANTROPKA

Poświęciła krew i ciało
No i wielu skorzystało

PARKA

Że ich razem widzę wierzę
święcie
Remont się kocha w
remanencie

MĘSTWO KOBIET

Niejedna jak Grenada
Broni się i upada.

NIE TRUDNO ZGADNĄĆ — NIE TRUDNO ZGADNĄĆ — NIE TRUDNO ZGADNĄĆ —

KRZYŻÓWKA

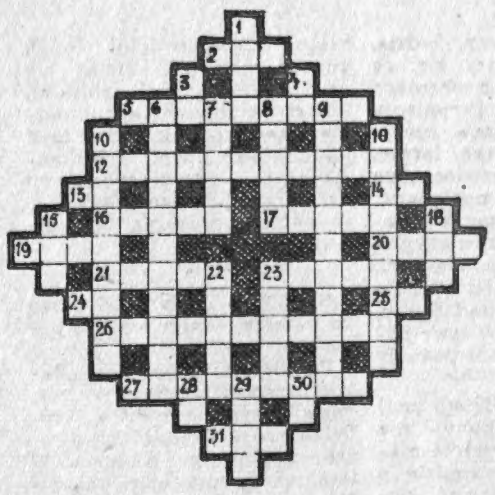

POZIOMO: 2.dodaje go szofer, 5. chodzi w pancerzu, 12 bliski nam system filozoficzny, 13 rzeka na Syberii, 14. miara powierzchni, 16. coś zwiniętego, 17. kolor w kartach, 19 gruszka, 20 regularny szereg tonów, 21. oczekiwany człowiek z samolotu, 23 bóstwo Persów a także symbol papiestwa, 24. przysłówek, 25. jest właścicielem czegoś, 26 potwierdzenie umowy, 27. miasto na Kaukazie, 31 liczba.

PIONOWO: 1. coś nietykalnego, 3. nuta, 4. ludolfina (fonetycznie), 6. substancja wpływająca na przemiany chemiczne, a sama nie ulegająca zmianie, 7 ma kanalik w środku, 8 legendarny władca Polski 9. utrzymanie, żywienie, 10. framuga w murze, na okno lub na strzelnicę, 11. mieszanina różnych pierwiastków, 15. coś białego do jedzenia, 18. lata, 22. choroba, 23. bywa po deszczu, 28. wyróżniająca się jednostka, 29. ton, 30. litera (fonetycznie).

ILE BYŁO GOŹDZIKÓW?

OGRODNIK zlecił swej córce sporządzić z połowy ilości wskazanych goździków wiązanki po 4 kwiatki, a z drugiej połowy po 6. Ile było goździków, jeżeli dziewczynka przeliczając wiązanki po ukończeniu pracy — naliczyła tych o 4 kwiatkach o 30 więcej.

Za rozwiązanie tych zagadek przysłane z dopiskiem przy adresie redakcji „Rozrywki umysłowe" przeznaczone są do rozlosowania 3 nagrody (bony książkowe).

ROZWIĄZANIE Z NR 23 (319)

Najkrótsza noc — arytmogram: „Popłyną wianki w noc Kupały, ogniami zalanią góry, skały" (ścisk, góral, pląsy, wełna, muzyk).

ZAGADKA GEOMETRYCZNA:

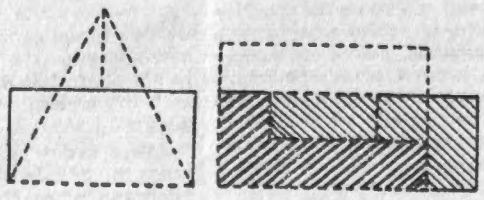

ŚMIECHU warte

— A może na Gerarda?

Rady narodowe podjęły ostatnio szereg uchwał ograniczających sprzedaż napojów alkoholowych.

— Niech troski zginą w rozbitym szkle.

Tutaj, obok tego domu pierwszy raz ciebie spotkałem.

— Chciałem się zapytać czy już ktoś znalazł moje ubranie.

Bez słów.

Bez słów.

rys. J. SIENKIEWICZ